

**GABRIELA
ZAPOLSKA**

KOZIOŁ
OFIARNY

Gabriela Zapolska

Kozioł ofiarny

«Public Domain»

Zapolska G.

Kozioł ofiarny / G. Zapolska — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

8

Gabriela Zapolska

Kozioł ofiarny

Pan Wentzel zmarszczył brwi i położył kanciastą linię obok siebie.

– Proszę o spokój! – wyrzekł ochryplym głosem.

– Oko brandenburskie! – odpowiedział natychmiast Julusiek.

– Z perską źrenicą – dorzucił Marian, pakując ręce w kieszenie od spodni.

Pan Wentzel podniósł swą spiczastą głowę, pokrytą najeżonym włosom, i spojrzał na porozkładane na krzesłach dzieci.

– Proszę o spokój! – powtórzył, a wargi wybladłych ust drżały mu jak w febrze.

– Patrzcie... panu „Wentzlemu” spuchła z lewej strony twarz – zawołał Julusiek, mrużąc powieki.

– To od tych papierosów, które po kryjomu pali, a nam nawet zaciągnąć się nie da – odparł flegmatycznie Marian, obserwując z ironią wychudłe policzki nauczyciela.

Panu Wentzlowi krew uderzyła do głowy.

– Nie palę papierosów – wyrzekł energicznie – nie wmawiajcie we mnie złych czynów, które sami spełniacie.

Julusiek wzruszył ramionami. Marian wpakował ręce jeszcze głębiej w kieszenie.

– Nie palisz pan? – zapytał, wydymając czerwone i pełne policzki. – Phi!... to taka prawda, jak to, że pan atramentem dziur w butach sobie nie czernisz... Zaprzecz pan temu!

– Zaprzecz pan temu! – zaskrzeczał, jak mały psiak, Julusiek i w ekstazie triumfu usiadł na stole, gdy tymczasem Marian wciąż kołysał się na krześle, patrząc spod oka na nauczyciela.

Pan Wentzel był przybity.

Rzeczywiście, nie dalej jak wczoraj smarował rano bielące się wśród czarnej skóry butów skarpetki... smarował atramentem, aby nie przeświecały zanadto, gdy wejdzie do sali jadalnej lub salonu.

Milcząc ujął w rękę jedną z ciemnooprawnych książek, których stopy leżały na stole.

– Zaczniemy wykłady od *Historii świętej* – rzekł cichym głosem.

Lecz Julusiek pragnął nasycić się swym triumfem i cały włożył na stół, strącając zabłoconymi nogami książki i zeszyty na ziemię.

– Wzięłeś pan patyk... o, tak!... Umaczałeś pan w atramencie i smarowałeś pan buty...

Pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej.

– Proszę zleźć ze stołu i usiąść przyzwoicie, inaczej przerwę lekcję...

– Wielka będzie szkoda... – mruknął Marian.

Julusiek odsunął się trochę i podwinął nogi pod siebie.

– Jedź pan – wyrzekł – mnie to nie przeszkadza, ja i tak mogę pańskiego bajdurzenia słuchać.

Pan Wentzel otworzył książkę i powoli zaczął przewracać kartki ozdobione rycinami.

– Skończyliśmy na Samsonie i ucięciu włosów – zaczął potykając ślinę – wiecie, że uczyniła to Dalila i...

Na twarzach chłopców pojawił się dziwny wyraz.

– Musiała to być szykowna kobieta – mruknął Julusiek, uśmiechając się rozkosznie. – Prawda, Marian?

Lecz Marian zwrócił się teraz ku panu Wentzlowi i patrząc wprost na twarz nauczyciela – zapytał.

– Jak pan sądzi? Brunetka była? Co?

– Nie wiem! – odparł nauczyciel.

– Daj pokój, Marianie!... – wrzasnął Julusiek. – Albo on się zna na tym!

– Hm!... – odrzekł Marian – jest przecież mężczyzną.

– E! Taki tam! Boże się zmiłuj!...

Pan Wentzel zerwał się z miejsca.

– Cicho! – krzyknął uderzając książką o stół. – Cicho!... bo...

Głos uwiązał mu w gardle.

Marian i Julusiek, mrużąc oczy, przypatrywali mu się impertynencko.

Tyle ironii mieściło się w wyrazie twarzy tych przedwcześnie rozwiniętych dzieci, że nauczyciel najczęściej czuł swą sztuczną energię jakby zmrożoną i w głębi serca doznawał dziwnego ściśnienia, które mu dotkliwy ból sprawiało. Czuł swą bezsilność i milknął połykając łzy i upokorzenie.

Tych dwóch malców w kraciastych kurtkach, nie dorastających mu do nosa, tyranizowało go i kark mu do ziemi chyliło.

Co począć miał?

Podszedł do okna i machinalnie otworzył lufcik. Świeże wiosenne powietrze wpłynęło nagle do pokoju...

Wentzel cofnął się od okna, jakby nagle upojony...

Przymknął oczy i stał tak blady, nędzny w smudze świetlanej, która kładła żółte i białe tony na twarz jego znędzniałą.

– Może byś pan kończył lekcję!... – odezwał się nagle Marian, znudzony milczeniem nauczyciela.

– To się wie – dorzucił Julusiek – pan zbijasz bąki jak jaki radca. Nic pan w lufciku nie wystoisz! Jeszcze panu oko spuchnie! – Pan Wentzel powoli odwrócił się i zbliżył się do stołu. Na twarzy jego malowała się smutna rezygnacja. Usiadł na krześle i unikając spojrzenia w twarze chłopców, rozpoczął wykład:

– Wiecie, że Samson był bardzo silny, wiecie, że gdy oparł się o kolumny świątyni, ramionami wstrząsnął, kolumny w gruzy się rozsypały i dach cały runął...

– Albo to prawda – przerwał Julusiek uśmiechając się sceptycznie.

Marian poprzestał na ironicznym wzruszeniu ramionami.

Pan Wentzel ciągnął dalej:

– Dach cały runął, przygniatając zgromadzone tłumy. W ten sposób więc nieprzyjaciele Samsona...

– E, to taka prawda jak to, że Ewa jabłko zjadła... – przerwał znów Julusiek.

– Pokonani zostali... – brzmiał głos nauczyciela.

Teraz Marian poruszył się na krześle.

– A Adam ogryzkiem się udławił... – wyrzekł śpiewającym głosem.

– I gdyby nie Dalila, która...

Lecz już słowa pana Wentzla brzmiały jedynie chyba dla niego samego. Dzieci, pobudzone w swej przekornej wesołości, jak piłkę odrzucały sobie wzajemnie legendy, podawane im przez nauczyciela za fakt. Dla nich, dla tych rozbudzonych przedwcześnie umysłów, nie istniał już żaden urok naiwnej wiary – ze śmiechem i drwinami szarpali treść *Pisma*, nie mogąc jeszcze zrozumieć przenośni.

Pod gradem tych słów wyziewanych przez drobne, dziecięce usta, które zda się stworzone były do szeptania modlitwy, pan Wentzel siedział przybity, bezsilny, z głową na piersi zwieszoną. Codziennie powtarzało się to samo.

Codziennie nauczyciel i jego słowa były przedmiotem szyderstw, żartów i śmiechu.

Julusiek leżał już teraz na stole, wywijając z radości nogami, Marian napawał się spokojnym triumfem i pełen nieopisanej błogości wydymał usta do niebywałych rozmiarów.

– Jak tam było z tym Noem? Opowiedz pan, panie Wentzel!

– Albo z tym Dawidem!

– A Zuzanna? Co?...

Płomienie przebiegały zmysłową twarz Mariana.

– Tak! Tak!... Zuzanna!... To pyszny kawał!...
I nagle, ni stąd, ni zowąd, rozlega się z piersi dzieci wrzaskliwy śpiew:

Hopsztynder!... Madaliński
Fiuta!... z kopyta!...
Szara, ciach, ciach! Tańczy sobie
Z Barabaszem mazura!...

– Proszę o spokój!... – jęczy błagalnie pan Wentzel.

Hej kolęda!... kolęda!...
Podobał się Jewie! Jeździ na cholewie,
A bosu go znać!... znać!... znać!...

Pan Wentzel głowę ukrył w dłonie.

A bosu go znać!...

Lecz nagle drzwi się otwierają i dwie postacie kobiece ukazują się w progu.

– Co się tu dzieje? – pyta pani domu, chuda, płaska blondynka, nosząca na schylonych ramionach fałdziste szaty wdowie.

– *C'est atrocé!*! – odzywa się druga, odpinając żwawo guziki zniszczonego płaszczyka.

– Panie Wentzel, jak pan możesz pozwolić na coś podobnego?!

Pan Wentzel powstał już z krzesła i w milczeniu układa książki i zeszyty. Czuje, że wszystko, co powie na swoje usprawiedliwienie, na nic się nie przyda.

¹ *C'est atrocé* (fr.) – to okropne. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.